

Projekt książki Stanisława Lema

Mateusz Dzieciuch



Pracownia Projektowania Komunikacji Wizualnej i Typografii
prowadzący: dr hab. Artur Frankowski, prof. ASP
Wydział Wzornictwa, ASP w Warszawie



Mateusz Dzieciuch



Nie miał jednak chwili czasu — PAL został coraz wyraźniej z tyłu. Lecieli trojką już pięć minut.

Było nawet coś przyjemnego w przekonaniu, że nie widać się już szarpać, zrywać niewów — one i tak dadzą mu radę. To trwało sekunde — potem popatrzał na zegar, była właśnie godzina, którą się wyznaczył na początek manewru, a on nie miał jeszcze rąk na dzwigniach! Mordownia tysięcy ćwiczeń robiła jednak widac swoje — złapał obie rękojeści na osłep, poruszył lewą, potem prawą, wpatrzonego w trajektometr. Silnik odezwał się, głucho, potem zasyczało, poczuł uderzenie w głowę, aż jęknął z zaskoczenia. Dostał kanciem książki nawigacyjnej w czoło — tuż pod okapem hauby! Zakryła mu twarz, nie mógł jej trącić — potrzebował obu rąk. W słuchawkach brzęczało i kottowało się miłosne życie

na Kalkulatorze. — Powinni dawać rezerwy — pomyślał, czuł, jak książka nawigacyjna wskutek rosnącego przyspieszenia zgniała mu nos. Rzucił głową jak szalony — musiał widzieć trajektometr! Wazyła chyba ze trzy kilogramy, naraz spadła z trzaskiem na podłogę — no tak, było prawie 4 g. Natychmiast zmniejszył przyspieszenie, utrzymywał je w granicach manewru, stawiał zapadki na rękojeściach — miał teraz 2 g przyspieszenia. Czy muchom nic nie robi takie przyspieszenie! Nic im nie robiło — czuły się świetnie. Miał lecieć tak 83 minuty. Spojrzył na tarczę radaroskopu — oba JO szły za nim, odległość między jego rufą a nimi wzrosła do jakichś siedemdziesięciu kilometrów, przez to, że przez parę sekund miał 4 g i wyskoczył do przodu. Nie szkodzi. — Poryw osiem Aristera, kurs sto jednaście koma sześć. Mam was na kursie zbliżonym jedenaście minut trzydzieści dwie sekundy, proszę odchylić kurs własny. Odbiór.

— Masz chłost! — jęknęło w nim. — Bałwan, pcha się prosto — przecież widać, że idę w szyku!

— AMU 27 prowadzący Trójkąt Terraluna JO dwa JO dwa bis wola Poryw osiem Aristera. Idę w szyku, nie zmieniam kursu, wykonaj manewr własny. Odbiór.

— JO dwa bis do prowadzącego AMU 27 Terraluna, mam przebitą rozrząd grawimetryczny, wykonajcie niezwłocznie manewr mijania, punkt przecięcia kursów czterdzieści cztery-zero osiem, kwadrant Luna cztery, pas brzożny. Odbiór.

— AMU 27 do Poryw osiem Aristera, dwa JO dwa bis Terraluna, wykopię manewr mijania godzina dwudziesta trzydzieści

dziewięć, manewr wrotów równoczesny za prowadzącym ha — głośności optycznej, odchylenie północny sektor. Luna jeden zero koma sześć, wyłączam silniki małym ciągiem. Odbiór. Mówiąc to, jednocześnie włączył

światła dolne, dysze odchylające. Oba JO dwa powiedziały natychmiast, skreśliły gwiazdy przesuwając się w ekranach, Poryw podziękował, leciał do Luny Głównej, Pirx nabrął nagle fantazji, życzył mu szczęśliwego lądowania, to było w dobrym stylu, zwłaszcza że tamten miał awarię, widział go na tysiącu kilometrów z zapalonymi pozycyjnymi — potem znowu wzywał swoje JO, zaczęło się wchodzenie na kurs — okropność! Jak wiadomo, nie ma nic łatwiejszego niż zejść z kursu — odnaleźć potem ten sam kawałek paraboli wydaje się prawie niemożliwością. Inne przyspieszenie, nie mógł nadążyć z rzuceniem współrzędnych Kalkulatorów, tażyły po nim muchy, potem zaczęły się gonik po radarze — cienie ich zamykały tylko ekran. Skąd te bydlęta brały tyle siły? Po dwóch dwudziestu minutach znalazł się w końcu na pierwotnym kursie.

— A Boerst ma na pewno drogę jak wyczyszczoną odkurzacem — pomyślał. — Zresztą

— No — i czego ja się właściwie tak zestracham? — pomyślał. — Spadła pokrywka, to spada, wielkie rzeczy. Z pokrywki, bez pokrywki, nie wszystko jedno?

— AMU 27 prowadzący Terraluna do JO dwa, JO dwa bis. Mam zwanie w sterowni. Kurs

manewr wejścia na orbitę tymczasowo trwał nad strefą równikową Księżyca wykonam z opóźnieniem... e... nieokreślonej długości. Wykonajcie manewr sami w ustalonym czasie. Odbiór.

— JO dwa bis do prowadzącego AMU 27 Terraluna, wykonuję manewr łączny razem z JO

dwa wejścia na orbitę tymczasowo trwał nad

strefą równikową. Masz dziewiętnaście minut do Tarczy. Powodzenia. Powodzenia. Koniec.

— Koniec! — pomyślał. — Dać się wyrzucić z ziem z bani? Wyrzucić z fotelem, w podłonie?

Nie można, spadochron nie zahamuje. Księżyc nie ma przecież atmosfery. Półknul! — chciał krzyknąć, ale nie było do kogo wołać — był sam. Co robić? Musi być jakieś ratunek!

— Pilotie Pirx! — powiedział Szeff. — Zupełnie dobrze, pilotie Pirx! — powiedział Szeff. — Zupełnie dobrze.

— Chodź, chłopce — powiedział Szeff. Powoli

podat mu rękę, którą Pirx ujął — wzmacniając uścisk, Szeff dodał: — Wyrażam ci uznanie

w imieniu Lotów, a we własnym — przepraszam cię. To... jest... konieczne. Teraz chodź, przejdiesz do mnie. Będziesz się mógł umyć.

— Co? — spytał odruchowo.

— Powietrze! Wypuść sobie powietrze z kabiny — A, powietrze...

Teraz miał trochę wolnego czasu — aż do końca lotu z przyspieszeniem 2 g — to nie było

nic takiego. Wążył teraz — wszystkiego — sto czterdzieści dwa kilogramy. Siedział nieraz i pół godziny w laboratoryjnej karuzeli na 4 g.

Inna rzecz, że to nie było przyjemne — ręce, nogi jak z żelaza, głowę nie można było nawet ruszyć — osłepało.

Jeszcze raz sprawdził położenie obu swoich

szkieł za rufą i pomyślał, co teraz robi Boerst. Wyobraził sobie jego twarz — musiał

wyglądać jak na filmach. Szczękę miał ten

chłopak! Nos prosty, oczy szare — stalowe

— A pewno nie wziął z sobą żadnego bryka! Chociaż — jemu na razie też nie okazał się

potrzebny. W słuchawkach osłabło brzęczenie, aż się za pierwszym razem wzdrygnął. Spojrzył w górę — miały plackowate rozszerzenia

na końcach czarnych łapek, ich odłoki błyszczały metalicznie w świetle lamp. Ohyda!

Mówiąc to, szukał tego beczelnego Porywa na radarze — był! Nie dalej niż o półtora tysiąca kilometrów!

— co mu tam! Zrobi wszystko i tak jedną ręką. Włączył automat reduktora akceleracji, żeby

na 83 minucie mieć przyspieszenie zero, jak

nakazywała instrukcja, i zobaczył coś, od czego

jego mokra pizdzwopłota bielizna zrobiła

się jak uszta z lodu.

Nad tablicą rozdzielczą zasuwała się z zaci-

sków biała pokrywka — milimetr po milime-

trze. Była, widać, słabo wsadzona i podczas

targania statku przy mroźnych wstrząsach

(targał nim rzeczywiście — wnie) zatrzas-

skowe rygielki puściły. — Wtem p

czenie wciąż jeszcze wyniosło 1,7 g, po

zsuwała się powolutku, jakby ją ktoś ciągnął

w dół niewidzialną nitką — aż zeskoczyła

i spadła. Uderzyła w szkło bani od swojej stro-

ny, osunęła się po nim i leżała nieruchomo na

podłodze. Obnażone, zabłyśły cztery miedziane

przewody wysokiego napięcia i, bezpiecz-

niki pod nimi. Był jednak niespokojny — takie

rzeczy nie powinny się zdarzać. Jeżeli może

spaść pokrywka bezpieczników, to może od-

lecieć i rufa.

Już tylko dwadzieścia siedem minut lotu

z przyspieszeniem było przed nim, kiedy po-

myślał, że po wytłuczeniu silników pokrywka

stanie się nieważka i zacnie tam latać. Czy

może narobić coś złego? Raczej nie. Za lekka.

Nawet szybki ładunek nie stłucze. E, nic.

Poszukał wzrokiem much — gonik się, kolu-

jąc, bzygając, latały dokoła całej bani, aż siadły

pod bezpiecznikami. Stracił je z oczu.

W radaroskopie odnalazł swoje oba JO —

kursie. Przedni ekran ukazywał wielką na-

tylko kilka palców czy dłoń ogarnął martwy bezwład, że stały się jakby uciepionym do reszty ciała przedmiotem. Piłkowie jednak nie pozostali nic innego lepiej, prawie nic — prócz strachu. Rozpadał się — nie na żadne tam osoby, ale właśnie na strachy. Czego się bał? Pojęcia nie miał. Nie był ani trzeźwy, ani jawy nie przeżywał (jakże może być jawa bez ciała), ani snu. Bo nie snił przecież: wiedział, gdzie jest, co z nim robią. To było coś trzęsącego. I do upicia się też najzupełniej niepodobne. Czytał i o tym. To się nazywało „dezorganizacja pracy kręgosłupa”, spowodowana pozabawieniem mózgu impulsów dosłownych”. Brzmiało to nie najgorzej. Doświadczanie jednak...

Był trochę tu, trochę tam i wszystko się rozlażło. Kierunki: góra, dół, bok – nic z tego! Usiłował sobie przypomnieć, gdzie może być sufit. Ale jak mówić o suficie, kiedy nie ma ciała ani oczu?

Zaraz – rzekł sobie – zrobimy z tym porządek. Przestrzeń wymiary – trzy kierunki... To słowna nic nie znaczący. Pomyślał o czasie, powtarzał „czas, czas” – jakby zół kawalek papieru. Zlepek bez jakiegokolwiek sensu. Już nie on powtarzał, mówił to jakiś nikt, jakiś obcy, ktoś, kto wlaźł w niego. Nie, on wlaźł w kogós. I ten ktoś rozdybłał się. Puchnął. Zatrzącał.

wszystkie granice. Wędrował niepojemnym wnętrzem obrzeży i obrębów jak balon, niesiony wiatrem; słonościwymi palcem, ściskał ciałem, nie swoim, nie prawdziwym, ale jakimś wymyślonym, wziętym nie wiadomo skąd. Ten palec usamodzielał się. Stawał się czymś przytaczającym, nieruchomym, ziętych karcają i zarazem idiotycznie, a jego miłość nie unosiło się raz z jednej, raz z drugiej strony tej brzoły mroźnej, ciepłej, wietrznej, zadanej – znikał. Wirował. Kręcił się. Spadał jak kamień, chciał krzyknąć. Między bóg tenarzą, w głębi, w głębi, w straconej, w płaszczyźnie, w której uślował stając, im czło-
laży na niego, im pchało się, rozparował go, był jak cienko-kowalowy zbiornik

grożący pęknięciem. I wybuchnął. Rozpadł się na niezależne od siebie ciemności, które szybko wały jak polatujące bezwładnie strzepy zwęglonego papieru.

A w tych wahaniach i polatywaniach było niepojęte napięcie, wysiłek taki chyba, jak w śmiertelnej chorobie, kiedy poprzez mgły i pustki, która była kiedyś spraw-

93

w odstępie dziesięciosekundowym wykazywał, że robił dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Myśmy robili ledwo czterdzieści pięć. Nie odpowiadał i zbliżał się; wyglądał już okazale, nawet zadoła okazałe. Płonąca zieleni soczewka, widziana z loku, ostre wrzescio ko... Spojrzałem na radarowy odległościomierz, bo coś za bardzo mi urosło – czteryśdziesiąt kilometrów. Zamrużowałem. Z takiej odległości

dzieści wraków, jeden za drugim, stąd też rozmiar... Ale dlaczego taki wrzecznościowy? Radaroskopy pracowały, odległościomierz samoczynny stukał i stukał: trzysta kilometrów. Dwieście sześćdziesiąt. Dwieście...
Zaczęłam na Herreßbergerze jeszcze raz obliczać kursy, bo mi to pachniało zbyt bliskim przejściem. Wiadomo, że od czasu kiedy na morzu zaczęto stosować radar, wszyscy po-

Dotąd był trochę z bakburzy, ale coraz wyraźniej mnie wyprzedzał, wszak robił w sekundzie dwa razy więcej niż ja; i wiedziałem, że wskutek nieuwzględnienia przez kalkulator całej poprawki katowej odległość mianina be-

każdy statek wygląda jak przelotek. — Ech z tą Perłą Nocci — pomyślałem. Wszystko to jest nie tak. — Przerzuciłem obraz na mały radar podręczny z kierunkową anteną. Był tak sam. Zglupiałem. Może to — przemknęło mi nagle — też taki „pociąg Le Mansa” jak ten, którego ja jestem maszynista? Tak ze czter-

czuli się bezpieczni, a okręty toną dalej. Wy-
szło mu powtórnie, że tamten przejdzie mi-
przed dziobem w odległości jakichś trzydzie-
stu — czterdziestu kilometrów. Sprawdziłem
oba nadajniki — automat wrzywający radem
i laserowy. Działyła, ale obcy milczał.
Do tej chwili miałem wciąż jeszcze nieczy-

nawet odpowiedzieć na bezpośrednie wezwanie przynaglające!
Włączyłem fonię i zacząłem go wzywać. Zdałem różnych rzeczy — żeby zapalił sygnały pozycyjne i wyrzucił filary, żeby się zidentyfikował, żeby podał nazwę, miejsce przeznaczenia, armatora, wszystko, rozumie się

dzie mniejsza od obliczonej o parę kilometrów. Poniżej trzydziestu na pewno, a kto wie, czy nie ze dwadzieścia. Powinienem być hamować, bo do takich zbliżeń dopuszczać nie wolno, ale nie mogłem. Miałem za sobą tylko sto z czterdziestu tysięcy ton cmentarzyska rakiet; musiałbym pierwiej odciągnąć wszystkie ruchoty. Sam nie

[illegible]

był spokojniejszy i znów martwił się już głowie sważerem, a odchrząknął do siebie (ziewał jak weterolary) powiedział mi, że lewy ekran radaru musi być chybna ponownie, bo w jednym miejscu kładzie się na niego niekiedy niekiedy słowami odrzucił, ja zaś kończyłem zimną wodą z pustki — i nagle, z widelcem wbiętym w nieoczekiwanie zastłazył twarz, skamieniała, inżynier zniżył się na obrazy radarowych ja, ja na asfalt. Ten „zepsuty” ekran.

W następnej chwili gnałem do sterowni. Ta to się mówi, w rzeczywistości poruszalem się tylko tak szybko, jak to jest możliwe, kiedyś tak przypiszenie dąb człowiekowi chwyta rak i odbijanie się nogami od wody.

[illegible]

szedł pod sufit, albo i na
błogę swoją.
Telefona-
r: sta mi
jed-
nak
ni-
czy
sys-
tem:
no ci i
w kiesz-
niach masz re-
czy — jakichś ciuchów,
stunek, kluczy i kasy znalazł się
w opregi, zawieszę nierzuchom między strom-
pami, podłogę i ścianami, po prostu sięgał
do wody, ciekł powozem przedmiotem.
Wtedy znalazł, aby łapadnie odłączyć, i stro-
ne przenięt. Metoda ta jest niezawodna i
kaskazorno potwierdza prawdziwość. Nie-
zależnie zastygł przy i ruszył, nie cał-
kiem jednak zgodna, zwłaszcza dla innych,
bo to, czym się trąca, odciąga się rykoszetem od
ścian i mierać uruchomiono ten dżama
złotychoł bieżniowej modelowej upodobał
zdradził twas dośrodek. Mówię to tym, aby
uzupełnić jeszcze jedynym odzieniem koloryt
wody i spód, pawałom benzamam wzmożony

[illegible]

Tyłko że stać miżak.
 Przecież sięm na
 na dżu
 120
 144
 160
 180
 200
 220
 240
 260
 280
 300
 320
 340
 360
 380
 400
 420
 440
 460
 480
 500
 520
 540
 560
 580
 600
 620
 640
 660
 680
 700
 720
 740
 760
 780
 800
 820
 840
 860
 880
 900
 920
 940
 960
 980
 1000

Mateusz Dzieciuch





Mateusz Dzieciuch

